

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

21 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Na drugi dzień wieczór widziano Ilonę znowu, jak szła przez osrebrzone poświatłą księżycy aleje parku, aby się przekonać, czy ta, której ona z całej duszy nienawidziła, zakończyła nareszcie życie. Jak zeszłej nocy, tak i teraz spała główkę o drzwi, ale do uszu jej doszło tylko lekkie stękanie, jakby westchnienia.

Z okropnym uśmiechem na ustach, uśmiechem, który całą jej twarz zmienił do niepoznania, opuściła ruiny pustelni i spędziła resztę nocy w objęciach kochanka.

Nie myślała nawet zupełnie o zbrodni, jaką popełniła, nie jej to nie obchodziło prawie.

Nadeszła trzecia noc i teraz Ilona zabrała ze sobą jakąś flaszkę. Była w niej najstraszniejsza trucizna, która sprowadzała śmierć w przeciągu kilku sekund.

— Już mam dosyć — mówiła sama do siebie — tak noc w noc odbywać pielgrzymkę do tej rudery. Dzisiaj musi przecie raz nastąpić zmiana.

Ale już niepotrzebnie zaopatrywała się w truciznę, bo kiedy ucho przyłożyła do drzwi, nie usłyszała nawet najłżejszego oddechu. Wewnątrz celi panował spokój grobowy.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zastona spada.

Powróćmy teraz do Małgorzaty Wilding, którą zostawiliśmy w chwili, kiedy z okna palącego się domu rzuciła się wraz z dzieckiem na ziemię, uchodząc w ten sposób niechybnej śmierci. Upadła na płachty, trzymane przez strażaków i zemdlą. Nic dziwnego. Była przecież tak wycieńczoną i słabą po tylu strasznych przejściach poprzednich dni. Odniesiono ją do jednego z odległych od miejsca pożaru domów, w którym przez cały dzień i noc nie odzyskała przytomności.

Kiedy nareszcie przyszła do siebie, ujrzała nad sobą pochyloną świeżą, rumianą twarz młodej kobiety. Nie mogła z początku zrozumieć, gdzie jest i co się z nią stało. Opiekunka opowiedziała jej dopiero, iż Fredziu jest zdrowy, że wysłała go ze służącą na pole.

Wzruszona, chwyciła Małgorzata rękę nieznaną jej i chciała ją ucałować, ale nie pozwoliła na to młoda kobieta, która usiadła teraz i zaczęła jej opowiadać o sobie.

Była ona żoną kapitana okrętowego. Mąż jej przed pół rokiem wyjechał i miał powrócić dopiero przy końcu kwietnia. Obecnie znajdował się w Ameryce.

Wtedy przypomniała sobie Małgorzata opowiadanie, jakie słyszała, leżąc w trumnie u Stürmerów, opowiadanie człowieka, którego Stürmer nazywał Winkelmanem. Wiedziała wszystko, słyszała najdrobniejszy szczegół. Jej stryj, którego zawsze uważała za biedaka i któremu ojciec jej od czasu do czasu posyłał trochę pieniędzy, zostawił jej kolosalny majątek, który na niego spadł przed samą śmiercią.

W głowie jej się formalnie kręciło, kiedy myślała o tej kolosalnej sumie, jaką kiedyś miała otrzymać. Ale równocześnie duszę jej napędliała radość i duma, bo wiedziała, że przynajmniej jej dziecię nie będzie musiało zginać z nędzy, ale może żyć spokojnie i szczęśliwie. I dlatego tylko cieszyła się, że na nią spadł tak niespodziewanie taki wielki majątek.

Żona kapitana, która właśnie wróciła z kuchni, widząc chorą tak zamyśloną, zbliżyła się znowu do jej łóżka i spojrzała na nią pytającym wzrokiem, jakby miała ochotę o coś pytać. Nareszcie ozwała się:

— Wybacz pani, nie ciekawość mną powoduje, ale zdaje mi się, że panią dręczy jakaś troska, i dlatego pytam się pani wprost, co to za troska. Bo może ja bym pani mogła coś pomóc!

Małgorzata spojrzała w jej łagodne, dobre oczy i odparła:

— Winnam pani taką wdzięczność za opiekę, jaką pani roztoczyła nademną i nad moim dzieckiem, że z chęcią powiem pani, o czym teraz myślałam.

Żona kapitana wzięła ją za rękę, a Małgorzata zaczęła w krótkich, urywanych zdaniach opowiadać o swym życiu. Na końcu przytoczyła opowiadanie Winkelmana, które, leżąc w letargu, słowo w słowo dokładnie słyszała.

Mała kobietka, która słuchała uważnie wszystkiego, rozczuliła się tak, że nie mogła powstrzymać łez, przemocą jej się do oczu cisnących. Gładząc Małgorzatę po białym czole, zaczęła ją pocieszać.

— Biedaczko, cóżes pani musiała wycierpieć?! Ale teraz już będzie inaczej, zupełnie inaczej, czyż nie tak? Jeszcze dzisiaj wybiorę się do pani Stürmer; ona pewnie będzie wiedzieć, gdzie obecnie znajduje się Winkelman, a jeśli wie, to szczęściu pani nic nie stoi na przeszkodzie.

W tej chwili weszła do pokoju służąca z Fredziem. Biedna Wildingowa uściśnęła chłopczykę z tą miłością, jaką tylko pierś matczyzna odczuwać zdoła. Malec odpłacał jej całusami, rad, że nareszcie znowu zobaczył swoją mamusię. W jego dziecięcym mózgu nie mogło się pomieścić, jak można było spać tak długo, jak spała matka, leżąc w trumnie.

Kiedy się już napięścił do woli, zwrócił na nią swe duże, piękne oczy i zapytał:

— Powiedzno mi, matusiu, gdzie jest właściwie mój ojciec?

Małgorzata zbladła. Nie wiedziała sama, co ma dziecku na to pytanie odpowiedzieć. Skąd mu to zresztą przyszło na myśl?

— Moje dziecię — odparła z nietajonem wzruszeniem — czy tam ładnie dzisiaj na polu?

— O, jeszcze jak — rzekł malec — było bardzo ładnie w ogrodzie. Bawiliśmy się w piłkę; przyszedł później także Janek od sąsiadki, no i potem nie było już tak ładnie.

— Tak, a dlaczegoż to? — spytała ucieszona, że chłopiec widocznie zapomniał o pierwszym pytaniu.

— A bo Janek powiedział, że ma bardzo ładną mamę, a ja mu powiedziałem, że moja mama jest jeszcze ładniejsza. On się na to roześmiał i powiedział, że ja nie mam ojca. Ja się na to rozłościłem i powiedziałem mu, że mam tatusia bardzo ładnego, ale on się ze mnie wyśmiał i nie uwierzył mi. Mamusi! — kończył z płaczem chłopczyca — ja chcę mieć tatusia!

Małgorzata z trudem stłumiła w sobie łzy. Żona kapitana zaś zaczęła głaskać malca po czuprynie, mówiąc:

— Biedne, biedne dziecko!

Chłopczyca podniósł na nią oczy i wpatrzył się w nią z wyrzutem. Teraz dopiero zauważyła Małgorzata, jak on ogromnie podobny był do ojca.

— Nie chcę, żeby mnie pani żałowała — mówił z płaczem — ja chcę mieć tatusia, chcę go pokazać Jankowi, żeby się nie śmiał ze mnie. Mnie się już przykrzy, chcę, żeby mnie tatuś znowu kołysał na kolanach, tak, jak dawniej to robił.

Małgorzata przyciągnęła go ku sobie.

— Fredziu, mój Fredziu — mówiła płacząc, jakże możesz mówić w ten sposób do mamy? Czy już jej wcale nie kochasz?

— Bardzo cię kocham, matusiu! — szeptał chłopczyca — bardziej, o wiele więcej kocham cię, aniżeli tatusia, z powodu którego tyłeś się napłakała, ale ponieważ Janek mnie wyśmiał, więc chcę mu przecie pokazać, że i ja mam tatusia!

— Późno już! — przerwała kapitanowa. — Pójdź, Fredziu, dam ci kolację i ułożę cię do łóżeczka!

Mówiąc to, odciągnęła płaczącego chłopczykę od łóżka, wiedziała bowiem, jak nieprzyjemne było pytanie dzieciaka dla biednej Wildingowej. Kiedy zaś powróciła, zobaczyła, że Małgorzata, zakrywając twarz rękoma, łka konwulsyjnie, trzęsąc się na całym cielem.

Zaczęła ją pocieszać, jak tylko mogła, ale Małgorzata potrzęsała jeno głową i łkała.

— Tylko kobieta opuszczona przez męża może zrozumieć i pojąć ten ból, jaki w mej piersi wrze. Zdaje mi się, że w duszy mam olów rozpalony; jakżeż ja cierpieć muszę! I za co? Do tego jeszcze przychodzi do mnie ten dzieciak i pyta się: Gdzie jest mój ojciec? Dlaczego ja się z nim widzieć nie mogę? Cóż ja mu powiem, jak będzie starszy i rozumniejszy? Czy mam mu powiedzieć wprost: Twój ojciec był łotrem, porzucił matkę i ciebie i wydał nas na łup ostatniej nędzy! Mogęż mu to powiedzieć? Ojciec! Cóż to za wzniosłe słowo! Ojciec mojego dziecka? O, krzyczęć mi się chce, gdy tylko o tem pomyślę. Mam może ja być tą, która mu pierwszy cień wbije w duszę?

Kapitanowa spuściła głowę na dół. Pojmowała ona doskonale i odczuwała ból, jaki żreć musiał serce Małgorzaty. Bo dla kobiety prawdziwie szlachetnej nie może być chyba większego ciosu nad to, że mąż ją zdradza i porzuci zupełnie, jak się rzuci łachman stargany na drogę. Wiedziała, że dla dziecka nic nie ma straszniejszego, jak to, że

w dzieciństwie dowiedzieć się musi, iż jego ojciec był zbrodniarzem. Ta świadomość zламala i zatrula życie niejednemu człowiekowi, odebrała mu wszystkie promienie blaski dzieciństwa, wyradzała niejednego na odludka i życie robiła mu katuszą nie do zniesienia.

I kiedy tak stała nad Małgorzatą, pierś jej zaczęła falować ze wzruszenia; zbliżyła się ku nieśczęśliwej, głowę jej przycisnęła do piersi i zaczęła również płakać.

W tej chwili weszła służąca i przyniosła gazetę.

Kapitanowa pierwsza ocknęła się. Wiedząc zaś, że najlepiej będzie rozerwać Małgorzatę i myśli jej na chwilę odwrócić od męża, zaczęła czytać na głos kronikę. Były tam rozmaite wypadki ostatniej doby, skreślone barwnym piórem zdolnego widocznie reportera.

Naraz z piersi jej wydarł się stłumiony krzyk. Małgorzata wpatrzyła się w nią zdziwiona.

A kapitanowa, nie mówiąc nic, rzuciła się ku chorej i zaczęła ją okrywać pocałunkami.

— Co się stało? — pytała Małgorzata, uwalniając się z jej objęć.

— Zaraz się pani dowie!

I to mówiąc, wybiegła z pokoju, zostawiając Małgorzatę na łup własnych myśli.

ROZDZIAŁ XXXV.

Kłątwa złego czynu.

Kiedy Ilona powróciła z ruin, zastała Roberta siedzącego w jej buduarze, zatopionego w myślach. Najwięcej obawiała się ona jednego; żeby jej Robert nie przestał kochać. Podeszła więc ku niemu, objęła go ramieniem i zapytała tak słodko, jak tylko ona to umiała:

— O czymże ty tak myślisz, Robertcie?

— Eh — odparł z niechęcią.

Widziała, że prawdopodobnie myślał o Ernie. Miała ochotę zwymyślać go, ale wiedziała, że to się na nic nie przyda, bo Robert miał charakter uparty i nie znoszący oporu. Wszystko z nim można było zrobić, ale nie złością, jeno przeciwnie: dobrocią. Ozwała się więc znowu spokojnie:

— Żal mi cię, Robertcie. Gotowam cię nawet posadzać o tchórzostwo. I wartoż to o tem myśleć? Czyż życie ludzkie jest czems tak cennym, że usunięcie jednego człowieka ze świata powoduje kataklizm? Nie, Robertcie. Uspokój się, rozchmurz czoło.

— Co z Erną? — rzucił sucho.

— Umarła. Już nie żyje.

— Umarła?

— Tak jest.

Zdawało się, że słowa te wywarły nań większe wrażenie, aniżeli Ilona mogła się spodziewać. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że Robert istotnie odczuł boleśnie śmierć swej żony, bo oto twarz mu się rozjaśniła, a z piersi wyszło jakby jakieś westchnienie ulgi.

— Wiesz napewne, że umarła?

— Z całą pewnością.

Ucałował jej rękę i czule przyciągnął ją do siebie. A Ilona, zarzuciwszy mu ręce na ramiona, zaczęła szczebiotać.

— A teraz nareszcie będziemy szczęśliwi! Już nam teraz nic nie stoi na przeszkodzie. Wyjedziemy stąd, wyfruniemy w daleki świat, rzucimy się całą siłą pary w wir zabaw i uciech. Bo i na cóż człowiek żyje na świecie, jeśli nie na to, aby się przynajmniej ubawił i nacieszył. W Paryżu, w Monte Carlo, na Rivierze pędzić będziemy słoneczne dni szczęścia, nie przyćmione ani jedną chmurką. A ja cię będę kochać z całych sił, całym pożarem mojej młodej, burzącej się krwi, przepychem mojego ciała i złotą falą moich włosów.

I przycisnęła się doń, drząc całą od zwierzęcej miłości; on zaś dał się porwać powabom szatańskiej kobiety i zaczął ją całować, wżerać się poprostu pocałunkami w jej oczy jasne, w czoło i rozchylone, jakby spragnione, wargi.

Wtem do drzwi ktoś zapukał. Ilona zerwała się i usiadłszy obok Roberta, zawołała:

— Proszę.

Wszedł służący i oznajmił, że na kurytarzu czeka jakiś pan, przyzwoicie ubrany, który chce się koniecznie widzieć z hrabiną Pardua.

— Z kim? — zapytał hrabia.

— Z hrabiną Erną Pardua!

— Czyś oszalał? — zawołał wściekły, ale spostrzegłszy się, zaczął zaraz dalej: — Nie mogłeś mu kazać zaczekać, a nie nachodzić nas po nocy? Wynos się i każ mu przyjść jutro.

Ale osłupiał zupełnie, kiedy wzrok zwrócił ku drzwiom. Bo oto w tej właśnie chwili wszedł do